

# Nie dotykać mumij egipskich... Z tajemnic Londynu

## Dwadzieścia pięć ofiar Tut-Ank-Ammon

Dziwna rzecz — w chwili obecnej z ogólnej liczby członków ekspedycji, która w celach naukowych otworzyła grobowiec faraona Tut-Ank-Ammona — pozostała przy życiu tylko dwie osoby. Dwadzieścia pięć osób umarło i to w okolicznościach nie zupełnie wyjaśnionych, bo zazwyczaj po paru dniowej chorobie, której źródła nie można było dobiec.

Ostatnią ofiarą dżinów egipskich jest znakomity egiptolog Arthur Weigall, który umarł nagle w Londynie 2 stycznia 1934 roku, a więc kilka dni temu.

Legenda o mściwych faraonach znowu nabiera posmaku aktualności — nie ulega wątpliwości, że każde nowe odkrycie grobów królewskich kończyło się tragiczną śmiercią któregoś z uczestników wyprawy.

Zadanej jednak ekshumacji nie towarzyszyło, tyle niezwykłych zjawisk, co „rewizji” grobu Tut-Ank-Ammona. W swoim czasie kiedy uczeni odnaleźli wspaniały grobowiec i w celach naukowych zaczęli go plądrować, wywołując z kamer bezcenne sprzęty i klejnoty, zaczęły się dziać dziwne.

Najprzód umiera szef ekspedycji lord Carnavon. Diagnoza brzmiała: ukąszenie jadowitej muchy. Ale śmierć nastąpiła po powrocie do Anglii.

Wkrótce potem prof. Raleigh, który miał za zadanie badać mumie Luksora promieniami X, oraz prześwietlać papirusy znajdujące się w pobliżu sarkofagów — umiera również w tajemniczych okolicznościach. Prof. Raleigh był fanatykiem egiptologii. Zabrał się do badań z całym zapałem, gdyż był przekonany, że papirusy, złożone w grobach królewskich, zawierają podwójny tekst — jeden widzialny gołym okiem, drugi dający się odczytać tylko za pomocą ultrafioletowych promieni. Studiował je przez szereg miesięcy, a kiedy wrócił do Anglii zapadł ciężko na zdrowiu. Przy łóżku uczonego zgromadzili się najślawniejsi doktorzy. Żaden jednak nie był w stanie postawić diagnozy. Tajemnicza choroba zżerała organizm profesora, powodując silne bóle w całym ciele, oraz stopniowy spadek sił. W parę tygodni później Ra-

leigh zmarł po krótkotrwałej, lecz niezmiernie bolesnej chorobie.

Jednocześnie umarł i fotograf, który towarzyszył uczonej w podróży do Egiptu, jako przedstawiciel jednego z większych dzienników Londynu. Począł on mnóstwo zdjęć wewnątrz grobowca i miał prawo wstępu do wszystkich kamer. I tym razem stwierdzono ogólne zatrucie krwi, z niewiadomej przyczyny. Wreszcie w samym Luksorze zmarło czterech robotników, którzy byli zatrudnieni przy robotach ziemnych. Wśród korespondentów angielskich i francuskich zanotowano cztery nagłe zgony.

Jednym słowem ogólna liczba ofiar Tut-Ank-Ammona wynosi dwadzieścia pięć osób. Są wśród nich trzy osoby, które wiedzione ciekawością weszły do grobowca, w charakterze turystów.

Obecnie prof. Maspero z Muzeum w Kairze doszedł do wniosku, że tajemnicza zgonu tylu osób, związanych z ekspedycją luksorską, da się wytłumaczyć w sposób zupełnie prosty.

Całuny i taśmy, którymi są owinięte mumie egipskie zostały widocznie nasycone nieznaną trucizną. Uczynili to kapłani egipscy, trudniący się balsamowaniem i grzebaniem mumii. Chodziło bowiem o ochronienie szczątków królewskich, przed

dotknięciem świętokradzkich rąk. Trucizna, zastosowana przez egipskich farmakologów, zachowała swą moc po dzień dzisiejszy.

A więc tajemnicze dżiny egipskie byłyby poprostu silnie działającą trucizną. Dlaczego jednak niektórzy uczestnicy ekspedycji zmarli dopiero w cztery lata, po wyjeździe z Egiptu, również na tę samą tajemniczą chorobę, która zżęła ich kolegów, bezpośrednio po otworzeniu grobu?

I na to znajdzie się odpowiedź. Zapewne niejedną z tych panów przywiózł sobie na pamięć jakiś drobny, pochodzący z grobu faraonów. Może po latach dotknął go, może miał zadraśniętą rękę — więc trucizna dostała się do krwi.

W każdym razie jedno jest pewne. Faraonowie, mszczą się na hyenach cmentarnych, nawet na takich, które legitymują się „passe-partout” naukowców.

Może jednak lepiej pozostawić w spokoju nieboszczyków egipskich.

Kilka dni temu zdarzył się na ulicach Londynu banalny wypadek. O świcie na jednej z głównych ulic zjawił się samochód, wiozący rozbawione towarzystwo. Przy kierownicy siedział młody człowiek w cylindrze, najwidoczniej z lekka „podgazowany”. Samochód, prowadzony niepewną ręką szofera, zarzucił tak gwałtownie, że się rozbił o mur kamienicy. Młody człowiek uderzył się głową o kierownicę i poniósł śmierć na miejscu. Inni uczestnicy nocnego spaceru wyszli cało.

Zwyczaj „fait divers” — ale dzięki niemu dowiedział się Londyn, że gościł w swych murach niezwykłego ptaszka. Artur Young, używający pseudonimu Arthur Leon Castledale, z zawodu aktor filmowy, przyjaciel rodziny Iwara Kreugera — prowadził w Londynie tryb życia awanturnika w stylu Casanowy. Był kolejno wszystkim: literatem, kasjarem, maitre d'hotel'em, członkiem arystokratycznego klubu, gwiazdorem filmowym, stolarzem

i handlarzem żywym towarem. Prowadził on podwójne życie. W ciągu dnia był aktorem i zarządzającym jednym z klubów, a wieczorem przedzierzgał się we włamywacza. Dzentelman włamywacz był jedenaście razy karany, ale nigdy go nie zidentyfikowano z popularnym aktorem.

Zaczęło się to wszystkim bardzo zwyczajnie. Młody chłopak, pochodzący ze sfer najniższych, idzie na praktykę do stolarza, jednocześnie ucząc się po nocach i pochłania niezliczoną ilość książek. Jest inteligentny, obrotny i piękny jak Apollo. To wystarczy. Niebawem dostaje się do filmowej kompanii, gdzie mu rokuje wielką przyszłość. Nie wie, że mu się jednak w świecie dziesiątej muzy, więc się przerzuca na intrygantniejszy zawód włamywacza. Przez lat dziesięć zarabia w sposób nielegalny na życie, nie budząc niczych podejrzeń, chociaż prowadzi tryb życia wcale wystawny. Później dostaje się do więzienia, ale po odsiedzeniu kary wraca znowu swego „milieu”, tłumacząc się, że bawił na Jasnym Brzegu.

Ostatnio otrzymał posadę zarządzającego w klubie Cambrid-

ge, którego właścicielką była kuzynka Iwara Kreugera. Tym razem policja wiedziała, kto zaczął jest wytworny pan we fraku, ale uwierzono mu na słowo, że będzie się dobrze sprawował. Policja angielska ze swej strony nie dokuczała mu i nie zdradzała jego incognito. Toteż w Cambridge uchodził Arthur Castledale za utalentowanego literata, który dlatego tylko przesiaduje w klubie, żeby móc później napisać powieść obyczajową z życia angielskiej złotej młodzieży. Miał piękną żonę i istny harem, złożony z fotogenicznych kobiet. Zarabiał rocznie 5 tysięcy funtów.

W znalezionym w jego mieszkaniu notesie znajduje się spis adresów i telefonów jego dwudziestu przyjaciół. Przy każdym adresie figuruje krótka, a wymowna uwaga, dotycząca danej kobiety. W ten sposób don Juan unikał pomyłek. Zresztą Castledale nie był zazdrośny. Przeciwnie. Starł się zapoznać swoje przyjaciółki z młodymi ludźmi z Cambridge, za co tamci płacili mu ogromny haracz.

Najzabawniejsze w tej aferze jest to, że Artur Castledale był synem angielskiego polityka.

## Erzed kratkami

### Potęga chemii

Pamiętam, jeszcze za Niemców, miałem korepetytora, który imponował mi niewymownie. Chociaż był dopiero studentem politechniki, uprawiał przemysł na tak szeroką skalę, jakby miał dyplom w kieszeni od dziesięciu lat. W kuchni funkcjonowała racjonalnie urządzona warzelnia mydła, w jednym kącie sypialnia była fabryka perfum, a w drugim gorzelnia i tekturyfikacja, w trzecim olejarnia, w czwartym łóżko. Wszystkie produkty szły wówczas, jak woda, mimo kontrakcji i szeroko zakrojonego szpicłostwa okupantów.

Najwięcej jednak zdumiewała mnie, i wprost bałwochwalczą przemawiała cacia fabrykacja miodu, w którym nie było ani odrobiny miodu. Wiedziałem, ile muszą się namęczyć pszczoły, aby zrobić trochę wonnego nektaru. A on nie. Brał kartofli, ucielał je na tarce, przepłukiwał wodą, odcedzał, krochmal ładował do wiadra, stawał w cieple, dodawał kilkukrotnego jęczmienia, po trzech dniach lał farby ze słoika z napisem „Eiergelb” do żółtości, z drugiego słoika z napisem „Mehlaroma” dole-

wał zapachu i po wszystkim. Brał po pięć marek za funt. Głowę bym dał, że to prawdziwy miód.

— Cóż ty fałsu myślisz — chępnij się nieraz — jak zechce, to będę robił jakia syntetyczną.

I pokazywał półkę z rzędem słoików. Jedyna rzecz, którą sprowadzał od Niemców, to były smaki, kolory i zapachy. Resztę robił sam. Tak wielką jest potęga chemii.

Przypomniał mi się na rozprawie w Sądzie Grodzkim XI okręgu, przeciwko Menaszemu Kokoszce, który całą swoją działalnością składa do wód, że piękna wiedza syntetycznej chemii jeszcze w Warszawie nie zamarała. Menasze Kokoszka sprzedawał „Miód Staropolski” syntetyczny, „Supernadere” (d.tto), wino palestyńskie, produkcji całkowicie krajowej i koniak, którego wyrób był prawdziwym triumfem chemii, gdyż nie posługiwał się wcale ani alkoholem, ani cukrem, ani olejkami, zwanym „Weinaroma”.

Brodaty chemik otrzymał trzy miesiące aresztu bezwzględne.

Very

## 5-lecie pomyślniej działalności Pol. Linij Lotniczych „Lot”

W roku 1934 przypada zakończenie piętego roku pracy Polskich Linij Lotniczych „Lot”.

Do pomyślnych wyników tej pracy należy należeć fakt, że samoloty „Lot-u” przewiozły wszystkich pasażerów bezpiecznie i zdrowo. Prócz tego regularność funkcjonowania linii była również bez zarzutu.

Jednak trzeba zaznaczyć, że frekwencja na liniach lotniczych w Polsce nie rozwija się bardzo pomyślnie. Nie jest to bynajmniej winą Polskich Linij Lotniczych, które w dużej mierze idą na rękę pasażerom, stwarzając liczne udogodnienia, utrzymując ceny biletów samolotowych na możliwie najniższym poziomie (II klasa po ciągach pośpiesznych, lub taniej). Nie można również doszukiwać się jakiegos braku zaufania do linii lotniczych wśród pasażerów. Propaganda lotnictwa również

jest intensywna, a ustosunkowanie prasy bardzo życzliwe. Przyczyną więc słabej frekwencji na liniach lotniczych należy się doszukiwać poza działalnością Polskich Linij Lotniczych. Przede wszystkim nieświadomością publicznego identyfikuje wypadki w lotnictwie sportowym i wojskowym z lotnictwem komunikacyjnym, w którym dotychczas nie było ani jednego śmiertelnego wypadku. Stąd wyciąga fałszywe wnioski o bezpieczeństwie naszej komunikacji powietrznej, która, jak to udowadnia statystyka, jest zupełnie.

Jednakże mamy nadzieję, że do bra organizacja Linij Lotniczych i ich popularyzacja musi doprowadzić do wszechstronnego korzystania z komunikacji powietrznej, co będzie najlepszą rekompensacją zrozumienia lotnictwa w najszerszych sferach społeczeństwa.

Józef Gwizdalewicz

15)

## Z pamiętników szofera Przygody z pasażerami

— Za zdrowie młodej pary! Niech żyją! Wiwat, niech żyją! Niektórzy wolali:

— Sto lat, sto lat!

Młodzi goście z pannami zaczęli ruszać w tany. Muzyka rżnęła od ucha. Młodzi tupała, aż się ściany trzęsły. Ja nie jestem amatorem tańca, jestem trochę za ciężki, więc siedziałem za stołem w gronie kilku starszych osób, którym opowiadałem przygody z niewoli niemieckiej, o wszelkich zbrodniach i okrucieństwach Niemców. No, i słuchacze ciekawie słuchali, no i co chwila napieinali mój kielich, prosząc, ażebyśmy pili zdrowie młodej pary.

O północy miałem już dość zabawy. Syty i napity ile wlażyło, poczęłem się żegnać i dziękować. Młodej parze życzyłem dużo szczęścia i powodzenia w życiu. Musiałem jeszcze raz wypić za zdrowie młodej pary, no i dopiero mogłem wyjść do wozu.

Ludzie niektórzy mówią, że jak kto wypije wódki, to się upije. Nieprawda. Czasami człowiek

wypije trochę i zaraz się poczuje źle, a innym razem będzie pił i pił, dobrze zakąsywał, wyjdzie na powietrze i poczuje się zupełnie dobrze. Tak było i ze mną. Wyszedłem na dwór, puściłem motor, otworzyłem przednią szybę, no i pojechałem wolno do Warszawy. Po przyjeździe do miasta czułem się zupełnie dobrze.

Nieraz sobie wspominałem i wspominam to wesele, bo naprawdę jadąc, nigdy nie myślałem, że na wsi ludzie mogą tak bogato urządzać weselisko.

Teraz opiszę kilka zdarzeń z pasażerami nerwowymi. Opiszę takich pasażerów, co jak to wsiadał taki do taksówki, to zdaje mu się, że tylko on jest człowiek, a siedzący przed nim szofer jest nie szofer, jest nie człowiek, lecz jakiś oszust, lub przestępca.

Taki pasażer da utargować na zegar złoty, lub kilka złotych, z czego szofer otrzyma trzydziści procent, a dokuczy szoferowi tak bardzo, że wprost nie można sobie wyobrazić.

Stoję sobie raz na stacji na Placu Trzech Krzyży. Wtem podchodzi do mnie jegomość, ubrany w przyzwoite palto i kapelusz i wsiada do taksówki, mówiąc adres: „Hoża przy Kruczej”. Pojechałem. Ów pasażer wysiadł i zaczął zawrócić, mówiąc, że zaraz pojedziemy na dworzec Wschodni. Wszedł do bramy, a ja zawróciłem i czekałem.

Ponieważ już na stacji opuściłem chorągiewkę na pierwszą takse, więc już zegar działał. Podczas czekania zegar cykał, bijąc co trzy minuty dwadzieścia groszy. Ile mogłem czasu czekać, może dziesięć minut, a może więcej, nad tem się nie zastanawiałem. Nareszcie wyszedł ów pasażer w towarzystwie pani w karakułach, a za nimi szła służąca, niosąc walizkę i kilka paczek. Usadzili się w samochodzie z bagażami. Pasażer powtórzył: „Dwórzec Wschodni”. Ruszyłem i pojechałem Nowym Światem, przez Most Poniatowskiego. Na środku mostu ów pasażer rzucił okiem na licznik i widocznie mu się cyfra nie podobała, lub nie miał on pojęcia o taksówce, bo od razu zaczął mnie wymyślać, że ja jestem złodziej, oszust, że ja za dużo nabił na zegar, że odbiora mi prawo jazdy, a ja już przestałem być szoferem.

Narazie pomyślałem, że mój pasażer zwarjował. Ale — gdy mnie w dalszym ciągu wymyślał, ja już się troszkę rozłościłem. Sfolgowałem maszynę i mówię do niego:

— Szanowny pan niech mi nie przeszkadza podczas prowadzenia samochodu, bo ja inaczej będę zmuszony zatrzymać taksówkę i wyrzucić pana razem z jego bagażami.

Momentalnie się uspokoił. Po przyjeździe na dworzec, pasażer wysiadł i pobiegł do policjanta. Zaraz zrobiło się małe zbiegowisko. Podeszło kilku szoferów i kilka osób z publiczności. Ów pasażer zaczął się skarżyć policjan- towi, że ja nabił zegar, że on będąc oszukiwany, zrobił mnie uwagę, a ja jego zato chciałem wyrzucić z samochodu do Wisły. Policjant był naprawdę bardzo mądry i porządny, miał duże pojęcie o samochodach i kursach, więc powiedział jemu, że on tutaj w liczniku nie widzi żadnego oszustwa, bo jeśli był postój, to licznik musiał wybić troszkę więcej, niż normalnie za samą jazdę, a jeśli pasażer czuje się obrażony — szofera, to trzeba spisać jego nazwisko i adres w celu złożenia skargi.

Dałem do spisania prawo jazdy, lecz również zażądałem wylegitymowania swego pasażera. Po

licjant, morus chłop, również go wylegitymował. Wtedy się dowiedziałem, że ów nerwus, to jest pan referent w Ministerstwie Kolei. Na odchodem powiedział mi:

— Panie szanowny, jeśli pan na mnie złoży skargę, to ja również napiszę do pańskich zwierzchników skargę na pana.

On na mnie skargi nie złożył, a ja nie złożyłem na niego i całe zajście skończyło się na niczem, ale co mi nawymyślał, to nawymyślał.

Pewnego razu stałem na Dworcu Głównym. Z nudów wyszedłem z maszyny, ażeby sobie rozprostować trochę kości. Wtem podbiega do mnie jegomość w średnim wieku i mówi:

— Mechaniku, czy mechanik zdążył mnie zawieźć na Dworzec Wileński przez piętnaście minut, bo mam tyle czasu do odejścia pociągu?

Odpowiedziałem, że zdąży, lecz przez most Poniatowskiego. Będzie troszkę dalej, ale zato droga otwarta. On widocznie przez oszczędność powiada:

— Jedź pan lepiej przez most Kierbedzia, lecz śpiesz się pan na lotos Boską.

Dałem gazu. Śpieszyłem się jak mogłem. Wymijałem wszyst-

kie taksówki i lorki. Nie wiem, czy do Zjazdu jechałem trzy minuty. Zaczęłem zjeżdżać do mostu, wtem patrzę — cały ruch zatamowany. Wszystkie pojazdy i tramwaje jechały bardzo wolno, a przyczyną było wojsko.

które szło na Pragę, mając przed sobą orkiestrę, która im przygrywała. Mój pasażer ogromnie zaczął się denerwować i mnie przygadywać. Spdó czasu minęło, nim wojsko przeszło most i dało drogę wszystkim pojazdom. Przyjechaliśmy na dworzec, pociąg już dawno odszedł, ów pasażer zaczął mnie robić wymówki, nie chcąc mi płacić za kurs. Dopiero musiałem zawołać policjanta, przy którym mnie zapłacił, ale co mi nauragał, to nauragał, a przecież zupełnie niesłusznie, bo gdyby zgodził się jechać przez most Poniatowskiego, to napewno by zdążył na ów pociąg, na który się śpieszył.

Stoję raz na stacji róg Pięknej i Kruczej. Wsiada do mojego wozu starszy pan, mówiąc:

— Aleje Jerozolimskie czterdzieści dziewięć!

Postanowiłem jechać Kruczą do Nowogrodzkiej, Nowogrodzką do Poznańskiej, Poznańską w Aleje Jerozolimskie pod ów numer.

D. c. n.

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefon: 545-80 (Centrala). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11 — 12.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691-64. Prenumerata 691-66. Wydział ogłoszeń 691-56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnieniem do domu) i zamiejscowa — zł. 4.50 miesięcznie. Konto czekowe P. K. O. Nr. 13550.

**Ceny ogłoszeń:** za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpal- ty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-iej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł. Lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobnie po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za termny druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1. tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieszyński.